

Patrzymy na siebie

Jarosław Abramow-Newerly (*Toronto*)



Jarosław Abramow-Newerly (z prawej) z Włodzimierzem Odojewskim, który przyleciał do Toronto w 1995 r. odebrać nagrodę Fundacji Nelly i Władysława Turzańskich, fot. arch. autora

Fragment niepublikowanej nowej książki Jarosława Abramowa-Newerly'ego „Ich lwi pazur”.

Poznaliśmy się z Włodzimierzem Odojewskim pierwszego kwietnia 1960 roku w sam Prima Aprilis, kiedy razem zaczęliśmy pracować w radio na ulicy Myśliwieckiej, ale ja o nim słyszałem już dużo wcześniej od mojego Ojca Igora Newerlego, który z

ramienia Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich opiekował się młodymi pisarzami. W związku z tą funkcją dość często jeździł do Poznania na spotkania z tamtejszym Kołem Młodych Literatów i jak wracał opowiadał o tamtejszych kandydatach na pisarzy, o co ja gorliwie go wypytywałem.

Chodziłem wtedy jeszcze do szkoły, ale bardzo interesowałem się młodymi, którzy w przyszłości chcieli zostać pisarzami - To kto według ciebie najciekawiej się zapowiada? - dopytywałem się. Wówczas zazwyczaj padało nazwisko młodziutkiego Edwarda Bernsteina (późniejszego znanego reżysera filmowego Edwarda Żebrowskiego), Piotra Guzego i Włodzimierza Odojewskiego. - Jeśli chodzi o Odojewskiego, synu - mówił Ojciec - to jego proza wyróżnia się elegancją. Jest potoczna, trochę poetycka i opisuje ludzi, głównie chłopów Łemków z okolic Leska niezwykle prawdziwie. Myślę, że Odojewski dojrzał już do druku i będę rekomendował jego najnowszą książkę „Opowieści leskie” w wydawnictwie „Czytelnik” - oświadczył. Zapamiętałem ten tytuł i kiedy książka wyszła z ciekawością ją przeczytałem. - Świetnie chłop pisze - przyznałem mu w duchu - ma dopiero dwadzieścia cztery lata i tyle wie o starości i przemijaniu. Zdziwiałem się - zadumałem się.

Kiedy więc przedstawił mi się dość sztywno w tym pokoju radiowym: - Odojewski jestem - i wyciągnął do mnie rękę, - Abramow - uścisnąłem ją szybko. - Miło mi. Wiele o panu słyszałem od Ojca. Poza tym czytałem „Opowieści leskie”. Bardzo dobre - dodałem. - Hm - zamyślił się - Tak pan sądzi? Naprawdę się panu podobały? - spytał. - Naprawdę - odparłem - To się cieszę - rozpromienił się i cała sztywność z niego opadła. Patrzył na mnie swymi przenikliwymi skośnymi oczami poczem dodał: - Ja pana pamiętam jeszcze w krótkich spodenkach jak przyjeżdżałem do was do domu na Żoliborz do Ojca - zaśmiał się. „ Tych krótkich spodkach” wymówił z nosowym „ę”, co od razu wychwyciłem. - To będziemy teraz razem pracować. Stół w stół - wskazał dwa biurka stojące pod oknem - Trzeba im się bardziej przyjrzeć - to „trzeba” wymówił jako „czeba” - i klepnął ręką w blat. - Które pan wybiera. To bardziej przy ścianie czy przy oknie? - spytał. - Wszystko mi jedno - odparłem. - „Jeźli” tak, to ja wybiorę to przy oknie - zdecydował i usiadł za biurkiem w krześle.

W tym pokoju radiowym oprócz nas dwóch pracowała jeszcze Zofia Doroszowa i Jadwiga Płońska z mojej redakcji. Redakcja ta nazywała się wtedy Teatr

Młodego Słuchacza. Bardzo nie lubiłem tej nazwy kojarzącej się z teatrem dla dzieci i jak tylko zostałem kierownikiem redakcji (dotychczasowa kierowniczka pani Zofia Doroszowa odeszła do telewizji), zaproponowałem nową nazwę Radiowy Teatr Młodych, co zostało przez kierownictwo radia zaakceptowane. W ogóle ten rok 1960, kiedy zaczynaliśmy razem pracę z Włodzimierzem Odojewskim można uznać za rewolucyjny. Ówczesny Prezes Komitetu do Spraw Radia i Telewizji Włodzimierz Sokorski oraz jego zastępca Henryk Werner, zdecydowali, że czas odmłodzić kadry radiowe i postawić na młodych. Popierali ich w tym dyrektor programowy Polskiego Radia Stanisław Stampfl oraz długoletnia dyrektor Naczelnej Redakcji Literackiej Programu I i II Alina Szenwaldowa. Wszyscy oni byli stałymi bywalcami Studenckiego Teatru STS, chodzili na wszystkie jego premiery i myślę, że tej sympatii do STS-u zawdzięczałem moją posadę. Wkrótce udało mi się wprowadzić do mojej redakcji kolegę z STS-u Andrzeja Wiktora Piotrowskiego, wielkiego erudyty i ciekawego człowieka, męża Olgi Lipińskiej, który w radio pozostał już do końca życia. Umarł przedwcześnie na raka w 1996 roku.

Jeśli chodzi o Włodzimierza Odojewskiego to on też zaproponował nową nazwę - redakcja słuchowisk Studio Współczesne Teatru Polskiego Radia. Przedtem taka redakcja w ogóle nie istniała i on ją od podstaw stworzył. Starał się też, tak jak ja, wprowadzić do radia swoich z kolei przyjaciół, młodych prozaików tak, że wkrótce w jego redakcji zaczął pracować Janusz Krasiński i Władysław Lech Terlecki. Jak z tego opisu widać, nasz pokój radiowy był przepełniony, stało tam pięć biurków i jak przychodzili do pokoju zaproszeni goście, to żeby móc swobodnie porozmawiać schodziło się w podziemiach do radiowego bufetu, który był swoistą kawiarnią literacką. Już w parę dni po objęciu przez nas nowych posad w tym właśnie bufecie Włodzimierz Odojewski oświadczył uroczyście: - Jako „czowiek” starszy od Pana proponuję wypić bruderszaft. Włodek jestem! - Jarek! - ucieszyłem się - Ten w krótkich „spodękach” - dodałem zaraz, przedrzeźniając go i wyściskaliśmy się z dubeltówki. W tym bufecie radiowym jedliśmy zazwyczaj obiad i spotykali bądź z zaproszonymi gośćmi, bądź z kolegami z innych redakcji. Kiedy w pokoju nie było czasu na zejście do bufetu zamawiało się u sprzątaczkii pani Zosi kawę „plujkę” albo herbatę ulung. Ona w rogu na korytarzu miała czajnik z wodą i swój mały, prywatny biznes.

Przed naszym przyjściem do radia było bardzo mało oryginalnych

polskich słuchowisk. Tyle co wcale. Śmiałem się, że na przedwojennym słuchowisku „Zegarek” Jerzego Szaniawskiego napisanym bodajże w 1925 roku się skończyło. Powszechnie królowały adaptacje, to znaczy przeróbki książek na słuchowiska. Zajmował się tym redaktor Klemens Białek, bardzo godny pan w sile wieku, który przed przyjściem do radia pracował w ministerstwie Kultury i Sztuki i żartowano, że analiza wykazała ślady Białka oraz dwie przemile Zofie. Zofia Orszulska i Zofia Zawadzka. I chociaż była specjalna redakcja adaptacji radiowych obydwie Zofie siedziały przy biurkach w naszym pokoju. Zagęszczenie więc biurek było wielkie. Mała i skromna Zofia Zawadzka, która jak głosiła legenda, była bohaterską sanitariuszką podczas Powstania Warszawskiego, zwykle mało mówiła i w skupieniu czytała teksty, natomiast Zofia Orszulska, polonistka na tajnym Uniwersytecie Warszawskim i również uczestniczka Powstania Warszawskiego mówiła chętnie i dużo. Słuchaliśmy z Włodkiem jej opowieści z dużą ciekawością. Od niej dowiedziałem się, że jej kolegą na tych tajnych kompletach był Stanisław Frybes, który wykładał u mnie na polonistyce i prowadził pierwszy inauguracyjny wykład na Uniwersytecie Warszawskim.

Jak już wspomniałem oryginalnych słuchowisk nie było i aby je zdobyć organizowane były konkursy radiowe. Najczęściej miały one rocznicowy charakter, ale myśmy się tym nie przejmowali i wspólnie z Włodkiem układali listę zaproszonych autorów. On wstawiał swoich przyjaciół poetów i prozaików, a ja swoich. Zachętą do pisania dla radia była duża zaliczka pieniężna, tak zwane vadium, które wynosiło 3000 złotych co równało się wówczas dwóm moim redaktorskim pensjom. W razie nie napisania słuchowiska trzeba było zwracać vadium, czego nikt nie chciał robić i teksty na konkurs napływały obficie. Dla mnie osobiście ten pierwszy konkurs był ważny, bo po raz pierwszy pisałem poważny tekst, a nie satyryczny skecz. Moje słuchowisko „Zasada” rozgrywało się podczas okupacji i współcześnie i dotyczyło sprawy głównego bohatera „Zasady” – taki był jego okupacyjny pseudonim. W jury zasiadali znani dramaturgowie i o tym, że na tym konkursie zdobyłem wyróżnienie zawiadomił mnie telefonicznie mój sąsiad z podwórka poeta i dramaturg Aleksander Maliszewski, który patronował mojej wczesnej twórczości.

To wyróżnienie bardzo mnie podbudowało, słuchowisko wyreżyserował świetnie Jan Świdorski, a w obsadzie znaleźli się młodziutki aktorzy Adrianna Godlewska i Krzysztof Kowalewski. I chociaż Włodek nie zdobył żadnej nagrody w tym

konkursie, kiedy mu o tym powiedziałem radośnie wykrzyknął: - „Czowieku”! To wspinała wiadomość. Bardzo się cieszę! - i bez cienia literackiej zawiści serdecznie mi pogratulował, co z wdzięcznością zapamiętałem. To słuchowisko miało swój dalszy ciąg. Wysłuchał je bowiem Tadeusz Kubalski, dyrektor Teatru imienia Bogusławskiego w Kaliszu i zaproponował mi, żebym je przerobił na sztukę teatralną. W ten sposób dzięki radiu znów trafiłem do teatru i świętowałem w 1962 roku prapremierę „Zasady” w Kaliszu w reżyserii Zbigniewa Besserta.

Ten początek radiowej znajomości, która bardzo szybko zmieniła się w trwałą przyjaźń sprawił, że Włodek Odojewski stał się dla mnie najbliższym doradcą literackim, z którego zdaniem niezwykle się liczyłem. A miał olbrzymią kulturę literacką, świetny smak i wielki talent redaktorski. Robił w tekście znakomite skróty i poddawał ciekawe pomysły. Pod jego przyjaznym okiem dojrzywałem jako autor słuchowisk radiowych i sztuk teatralnych. Ja z kolei odwdzięczałem mu się swoimi uwagami o jego tekstach, które dawał mi do czytania. Był rasowym prozaikiem, ze świetnym warsztatem literackim, który po mistrzowsku operował strumieniem świadomości i przestawienie się na dramaturgię, zwłaszcza na początku pracy w radio, przychodziło mu z trudem. Dialog pisany różni się od dialogu mówionego i trzeba się go po prostu nauczyć. Ja pod tym względem miałem większe doświadczenie zdobyte w STS-ie i chętnie udzielałem mu rad, które z wdzięcznością przyjmował. Był bardzo pojętym uczniem i szybko z prozaika wyrósł na radiowego dramaturga. Jest inna sprawa, że jego teksty były bardzo finezyjne i wymagały wyśmienitego aktorstwa. Przykładem było jego słuchowisko „Patrzmy na siebie”. Zostało przesłane do Teatru Polskiego Radia, który mieścił się w drugiej części gmachu i zrealizowane. Obydwaj uczestniczyliśmy w tym przesłuchaniu i byliśmy przerażeni - Nudy na pudy. Zamordowali mi tekst. To „Paczmy na siebie” nie do słuchania! - stwierdził zgnębiony Włodek. - Zgadzam się. Nic z twojego tekstu nie zostało. Okropne - przyznałem.

Przysłuchiwał się temu Jurek Markuszewski, już wtedy dyrektor Teatru Polskiego Radia, i rzucił: - Dobra, panowie. W takim razie nagramy to jeszcze raz. W nowej obsadzie, proponuję. Zgodziliśmy się z ulgą. Jurek sam to wyreżyserował, a do studia zaprosił Alinę Janowską i Edwarda Dziewońskiego. Oni teraz patrzyli na siebie i ten małżeński dialog między sobą prowadzili. I nagle tekst zaczął błyszczeć, dialog iskrzył się humorem, nie było cienia nudy i żalowaliśmy, że wszystko tak szybko się

skończyło. Trudno było uwierzyć, że to ten sam tekst. Tak, że była to dla nas wielka lekcja radiowa.

Druga część ukaże się w piątek 3 stycznia 2020 r.